

Najważniejsza szkoła miłości

Święty Jan zapisał bardzo zwięzłe określenie Boga: „Bóg jest Miłością”, a w Starym Testamencie Bóg nazywany jest często tylko jednym słowem: „Jestem”. Czy miłość wyraża się w dawaniu prezentów, dobrych rad, w pomocy, we współczuciu? Niewątpliwie tak. Ale chyba największym prezentem, jaki możemy dać naszym dzieciom, jesteśmy my sami. One tak naprawdę nie czekają na to, jaką zabawkę kupił im wracający z pracy tata – chociaż będą się nią cieszyć. One czekają na mamę i na tatę – na ich „jestem”.

Parę razy w tygodniu zdarza się, że pracuję od rana do wieczora – i kiedy wchodzę do domu, nasi dwaj malcy prześcigają się w rywalizacji o moją uwagę. Młodszy, który potrafi na razie tylko powiedzieć po prostu „tata”, powtarza to w kółko na różne sposoby i w różnych tonacjach; starszy prawie bez przerwy coś opowiada, a obaj garną się na kolana i przed położeniem się spać nie przepuszczają okazji, by wykorzystać mnie jako połączenie worka treningowego z materacem. Obydwoje z żoną zauważamy, że nic nie wnosi w naszą rodzinę tyle spokoju, co wspólna modlitwa i przebywanie razem z dziećmi, chociaż zdarza się, że po całym dniu pracy mamy głowy pełne zgiełku, jesteśmy znużeni i bardzo trudno wtedy znaleźć siły na zajęcie się pociechami. Żeby utrzymać dzisiaj rodzinę, trzeba dużo pracować, a czasem szukać dodatkowych zajęć. Ten obowiązek spoczywa głównie na ojcu. I ojciec jest, a zarazem nie ma go przez większą część dnia. Później wraca zmęczony, chciałby przeczytać gazetę, obejrzeć wiadomości, film – w końcu zmordowany zasypia przed telewizorem. I tak dzień po dniu. Aż kiedyś okazuje się, że poza rutynowymi pytaniami o szkołę jakoś trudno mu nawiązać rozmowę z dziećmi, niekiedy pojawiają się kłopoty wychowawcze. Jestem nauczycielem i nieraz rodzice mówili mi, żebym porozmawiał z ich dzieckiem, bo im jakoś trudno nawiązać z nim kontakt. Ale przecież ja widzę tego młodego człowieka zaledwie cztery razy w tygodniu na swoich lekcjach i nie mogę mu zastąpić domu i kontaktu z matką i z ojcem. Żaden psycholog ich nie wyręczy – owszem, może pomóc, ale nie zastąpi obecności rodziców. W takich sytuacjach zastanawiam się nad tym, gdzie popełniono błąd. Nie obwiniam rodziców, widząc ich bezradność, ale też nie mogę przeboleć tego, kiedy widzę, że czasami nie mają czasu przyjść i zapytać o dziecko, bo przez sześć, a nawet siedem dni w tygodniu, od rana do wieczora zajmują się na przykład handlem. Żal mi i tych rodziców i tego dziecka, bo nietrudno przewidzieć, że prędzej czy później zacznie ono szukać zrozumienia poza domem rodzinnym. Pewnie, że przychodzi czas, kiedy młody człowiek „wyfruwa z gniazda”, ale niedobrze, jeśli jest to spowodowane brakiem normalnych rodzinnych stosunków. Nie słyszałoby się na przykład o tylu ucieczkach do sekt, gdyby rodzice mieli czas dla swoich dzieci. Uczę też w szkole więziennej. Większość mężczyzn, których tam spotykam, nie znalazłoby się być może w więzieniu, gdyby mieli szansę dorastania w dobrej rodzinie, w której by z nimi rozmawiano, w której byliby ważni. Powie ktoś – to kłopot rodzin patologicznych: alkoholików, przestępców. Ale różne badania dotyczące przestępczości nieletnich, sięgania przez młodzież po narkotyki, alkohol wykazują, że jest to również problem tzw. „dobrych rodzin”. Nie możemy dać dzieciom nic cenniejszego od samych siebie. Nic nie zastąpi im widoku kochających się rodziców – ma lepszej szkoły miłości. Cały problem w tym, że uświadamiamy sobie to zbyt późno. To bardzo przykre, kiedy dorosłe dziecko mówi swoim rodzicom, że nie chciałoby, by jego własna rodzina była taka jak ta, którą oni mu stworzyli. Matka Teresa z Kalkuty, przemawiając 3 lutego 1994 roku w Waszyngtonie, powiedziała: „Zaskoczyło mnie to, że na Zachodzie, zobaczyłam tak wiele dziewcząt i chłopców mających skłonność do narkotyków. Usiłowałam znaleźć przyczynę – dlaczego tak się dzieje? I znalazłam odpowiedź: nie mają nikogo w rodzinie, kto by ich przyjął. Nasze dzieci uzależnione są od nas we wszystkim – pod względem zdrowia, odżywiania, bezpieczeństwa, poznawania i pokochania Boga. I spodziewają się tego wszystkiego z ufnością i nadzieją. Ale często ojciec i matka są tak zajęte, że nie mają czasu dla swoich dzieci. (...) Więc dzieci wychodzą na ulicę i wciągają się w narkotyki i inne rzeczy. Mówimy o miłości do dziecka, czyli o tym, gdzie miłość i pokój powinny się zaczynać – tutaj, w naszej własnej rodzinie.” Wydaje się, że to nie jest już tylko problem Zachodu – wystarczy pójść późnym wieczorem na bocheński rynek, a spotkamy tam dzieci, które o tej porze powinny już dawno spać w swoich łóżkach. Jeżeli w tych pod wieloma względami zwariowanych czasach możemy mówić o jakimś trwałym punkcie oparcia, to może nim być kochająca się rodzina. Nic jej nie zastąpi i nikt nie znajdzie lepszego środowiska dla wychowania człowieka. Ale także sama rodzina musi na czymś się oprzeć. Skąd wziąć siłę do tych wszystkich obowiązków, od których nieraz pęka głowa? Znowu przytoczmy bardzo proste, ale wymowne słowa Matki Teresy: „Cały świat pełen jest straszliwego cierpienia i głodu miłości. Wprowadźcie więc wspólną modlitwę w waszej rodzinie i włączcie w nią wasze dzieci. Nauczcie je modlitwy. Dziecko, które się modli, jest dzieckiem szczęśliwym. Rodzina, która się modli razem, jest rodziną spójną. Tyle słyszymy o rozbitych rodzinach. I zastanawiamy się nad nimi: dlaczego tak się stało? Uważam, że przyczyną ich rozbicia był brak wspólnej modlitwy. Nigdy nie łączyła ich przed Bogiem wspólna modlitwa”. Bogdan Górnicki